Rok VI. 7 Stycznia 1934. Nr. 2

DZWONECZEK

Dzwony i dzwonki...

Czyście się zastanowiły kiedy, Dzieci kochane, nad tem, co to jest dzwon, dzwonek, czy choćby najmniejszy dzwoneczek — i do czego on służy? Widzę już, jak się uśmiechacie na to pytanie, bo się Wam wydaje, że nic łatwiejszego jak na nie odpowiedzieć. Ano, zobaczymy.

Więc dzwon, duży czy mały, jest to rzecz zrobiona z jakiegoś metalu, ulana w kształt niby kielicha kwiatu, z wiszącą wewnątrz kulką, która uderzając o boki dzwonu, wywołuje jego dzwonienie. Dzwoni dzwon, dzwoni — poważnie, głęboko... A jego głos rozchodzi się daleko, szeroko, jak najdalej. Zwołuje, przypomina, namawia, zachęca, prosi, ostrzega, może i gromi... To tak w nim owa kuleczka, to jego serce, woła głosem przedziwnym: Przybywajcie, śpieszcie się, odłóżcie na chwilę wszystko inne, biegnijcie — a zaraz, a ochoczo, a z radością w duszy, z miłością, z nadzieją... Dzwoni, dzwoni dzwon, aż wkońcu milknie. Spełnił swój obowiązek, spełnił szczerze, serdecznie i ufnie, że nie nadarmo.

Są i dzwonki, dzwoneczki... Te, jak ptaszyny radosne trzepoczą się żwawo, wesoło, chciałyby w każde uszko zabrzęczeć swojem dzwonieniem. Ale i one poważne być umieją, gdy zajdzie tego potrzeba. Ich głos niekiedy powstrzyma od złego, przynagli do spełnienia powinności, obudzi ze śpiączki, obwieści miłą nowinę... Takie bywają dzwony, dzwonki, i dzwoneczki.

Ale jest jeszcze na świecie jeden, zupełnie do tamtych z wyglądu niepodobny dzwoneczek... Wy go znacie najlepiej, nasi Czytelnicy. Nie ma, jak tamte, pięknego kształtu kielicha kwiatowego, nie ulany z mosiądzu, śpiżu, ani srebra. I tylko jedno ma wspólne z tamtemi... **Serce.** Tem sercem właśnie chce trafić do Waszych serc i wywołać w nich ton wspólny. Pomyślcie, jaka piękna, mocna powstanie muzyka, gdy tak wszyscy razem zadzwonimy jedną pieśnią serc! Spróbujmy, a dobrej sprawie pomoże Bóg.

Trzej królowie

Legenda.

Po niebie przeciągały jeszcze zwolna ciemne chmury, co już przez dzień cały śniegiem zasypywały ziemię, gdy u dalekiej, jakby samego nieba sięgającej drogi, stanęły trzy postacie. Wspaniałe płaszcze królewskie okrywały im ramiona; na skroniach jednego błyszczała korona złocista, drugiemu przysłaniał głowę kołpak wysoki, trzeciemu zaś srebrzysty hełm rycerski. Rozejrzeli się dokoła, lecz poza bielą zasłanego śniegu niczego dojrzeć nie było można Spojrzeli potem ku niebu, ale i tam drogowskazu żadnego nie było. Wprawdzie gdzieniegdzie pomiędzy chmurami zabłysła niekiedy blada gwiazdka, rychło jednak znikła pod nowym obłokiem.

— Ano, panowie-bracia — odezwał się pierwszy, z brodą długą na piersiach — ruszajmy z Bogiem naprzód, abyśmy doszli na czas...

— Droga pięknie kobiercem wysłana, że mi się raz wraz litewska przypomina zima, kiedy to i pola i jeziora równają się jednako, pod białymi, jako tu, całunem — wtrącił drugi.

— Niezgorsza ona zima i w Polsce... Jużto ni śniegu ni mrozu nigdy nam nie użyczy zamało — dorzucił trzeci.

Uszli kawał drogi w milczeniu, gdy przystanął nagle król w hełmie srebrzystym i rękę na piersi złożywszy, zawołał porywczo:

— Nie żal mi trudu żadnego, ni drogi się lękam dalekiej, ale radbym od ptaka skrzydeł pożyczyć, by jeno rychlej stanąć przed oną Stajenką...

— Bogarodzicy wielbiciel z was żarliwy, toć się wam dusza rwie do niej niecierpliwa — odparł towarzysz drugi. — A ja znowu onego Dzieciątka widoku doczekać się nie mogę, które jako Zbawiciela swojego przyjęła moja Litwa ukochana.



Ponowne zaległo milczenie, przerywane jeno chrzęstem mocnych kroków po zmrożonym śniegu, gdy naraz król w koronie rękę wyciągnął w górę przed siebie.

— Patrzajcie jeno, co się tam błyszczeć zaczyna na niebie, a żadne chmury przysłonić tego nie śmieją...

Spojrzeli wszyscy w kierunku wskazanym i naraz okrzyk podziwu z piersi trzech mężów wydarty rozległ się w nocnej ciszy:

— Gwiazda, gwiazda cudowna!

Przytknęli dłonie do czół ponad oczy, by się przypatrzyć zjawisku, od którego wybiegały długie, świetliste promienie, niby ogon komety.

— Zaprowadzi nas ona już prosto, iż czasu ni drogi mitrężyć nie będziemy, by co rychlej złożyć dary u stóp Króla nad królе... — szepnął głosem wzruszonym Piast Kazimierz.

Uklękli wśród białego pustkowia i dzięki uczynili Panu za łaskę niepojętą.

— Czyżby wróg utajony chciał nas wyprowadzić na błędne manowce, żeby ująć czci naszej Bogu Wcielonemu? — spytał Jagiełło.

— Gorze wrogom Jezusa i Marji Przeczystej! — zakrzyknął król-rycerz i dobywszy szablicy, krzyż nią zakreślił w powietrzu.

Poszli dalej w skupieniu głębokiem i jeno oczy ich, szczęściem roziskrzone, raz po raz podnosiły się ku gwieździe-przewodniczce, płynącej zwolna po niebios szafirach. Wtem niespodziewanie w ciszę mroźnej nocy styczniowej popłynęła melodja przesłodka: „Zawitaj Pani świata..." To król Jan rozpoczynał swoje ukochane „Godzinki".

Spory już szmat drogi zostawili za sobą trzej królowie, a gwiazda wciąż płynęła przed nimi wysoko i nic nie zdradzało bliskiego końca podróży. Mijali niskie chaty wiejskie i wysokie domy miast, przesuwali się w pobok gęstwinnych borów i przechodzili zamarzłe koryta rzek. Niekiedy zrywał się

wiatr ze szczytów wyniosłych sosen i syczał głosem przestrogi, gdy u skraju lasu przystanęły wilki, błyskając zielonemi ognikami swoich ślepi. Lecz oni szli wciąż niezmordowanie naprzód z okiem utkwionem w gwiazdę i z sercem pełnem wiary i miłości.

Aż oto nagle stanęła na niebie złota przewodnica i króle jednocześnie wstrzymali swój krok. Otoczyła ich światłość ogromna, jaka z ponad ubożuchnej biła Stajenki, a jednocześnie rozbrzmiały śpiewy przecudne chórów anielskich, co niby stróże trzymały niebiańską straż. W głębi na sianku leżało Przenajświętsze Dzieciątko, przy żłóbku w błękitną szatę przyodziana stała Jego Matka Przeczysta.

Padli królowie na kolana w pokorze, a z piersi ich szczęściem wezbranej wyrywały się to szlochy, to westchnienia serdeczne:

— O, Ty Dzieciąteczko Boże.., O, Ty Zbawicielu nasz Przenajświętszy... O, Ty Panie i Królu Najwyższy... przyjm od nas, sług i poddanych Twoich, pokłon najniższy...

Spojrzał ku nim Jezus Maleńki, a na twarzyczkę Jego smutną wypłynął uśmiech słodyczy. Nie mógł zdzierżyć tyle szczęścia król-rycerz Sobieski i krzyżem runął przed Pańskiem obliczem. Aliści rychło się podniósł, bo oto zabrzmiały jak dzwon, słowa Wielkiego Kazimierza:

— Przyszli my tu do Ciebie, Jezu, z dary najdroższemi, na jakie polska ziemia zdobyć się jeno może... Przyjm złoto naszych serc, które w najsroższym nawet ogniu cierpienia chcą Ci pozostać wierne i nieodmienne.

— Przyjm naszą dobrą wolę, z jaką poddać się pragniemy Twojej Woli najwyższej... — dodał zwycięzca z pod Grunwaldu.

— I przyjm nasz zbożny trud, iżby się Twoje nad światem święciło Imię zawsze i wszędzie po wieki... — dorzucił gorąco Jan Trzeci.

A kiedy wzrok Jezusa nie schodził z ich twarzy, jakby w oczekiwaniu dalszych jeszcze słów, ramiona do niego wyciągnęli z błaganiem serdecznem:

— I pobłogosław... błogosław Ojczyźnie naszej najmilszej... Otośmy króle polskiej ziemi, otośmy ojce ziemscy Twojego narodu... Ale, o Panie, Ty go umiłuj, Ty go przy sercu Swojem uchowaj, Ty bądź mu Królem i Ojcem najlepszym!

Łzy jak perły potoczyły się po męskich obliczach, a kiedy nareszcie źrenice przejrzeć zdołały, ujrzeli trzej królowie, jak rączka Bożej Dzieciny, uniósłszy się do góry, kreśliła nad ich obnażonemi głowami znak krzyża świętego.

Patrzyła na to wszystko Najświętsza Marja Panna wzrokiem bezmiernej dobroci. Kiedy zaś króle z klęczek się podnieśli, odezwała się głosem anielskim:

— Zaprawdę, błogosławiona po stokroć ta ziemia, na której Syn mój wybrał sobie mieszkanie... Idźcie tedy, a powiedzcie ludowi swojemu: Wielkie rzeczy uczynił tobie, Polsko, Pan — i niechaj chwała Jego w tobie rozbrzmiewać nie przestanie aż do skończenia świata. *Ela Oleska.*

Zimowe wakacje

Po zasłanej śniegiem błoni
Narta nartę z chrzęstem goni...
Co tu wrzawy!
Co zabawy!

I po mrozem ściętym stawie
Przy muzyce, na zabawie,
Ostre łyżwy krają lody,
W taneczne pędząc zawody...

Książki za to wciąż w szufladzie
Czas spędzają na naradzie —
Czy je w ciszy
Zjedzą myszy...

Cóż wam, książki, tak się śpieszy?
Niech się młodzież zimą cieszy!
Wkrótce zamiast łyżwy, narty,
Weźmie w ręce książek karty

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy.)

Mój Boże, iluż to rówieśników moich, iluż kolegów, których tam zostawiłem w szkole w Warszawie, zazdrościłoby mi tego mnóstwa nadzwyczajnych rzeczy, jakie ja widziałem już w tak wczesnym wieku. Coby za to dał Stach Paklerski, albo Wicek Bronicz, gdyby z nich który tak na mojem miejscu mógł podróżować po Ameryce Południowej i oglądać takie bajeczne dziwy, na jakie ja tu patrzę pod równikiem. Oni tam biedacy w piątej klasie mogą co najwyżej złą cenzurę dostać, jeśli nie spamiętają z książki tego, na co ja patrzę własnemi oczyma. A choćby i najlepiej uczyli się z książek, nie nabiorą pojęcia o tem, co ja tu codzień przeżywam.

Ach, jeszcze widzę i słyszę, jak tam Lolo Rozumek stoi w klasie przed mapą i recytuje monotonnym głosem wykutą z geografji lekcję: Argentyna, Paragwaj, Urugwaj . . . a nie ma wyobrażenia, gdzie to, co to! Oni by tam uwierzyć nie chcieli, że Janek Orsza z Borówki chodził, jeździł, płynął po tych krajach, miastach, rzekach, morzach, które im tyle kłopotu sprawiają w nauce i tak się nie chcą trzymać pamięci. Ich wszystkich razem stać na podróże, nie mnie, chłopskiego syna, który byłby chętnie chodził z nimi dalej do gimnazjum, gdyby było za co. A tymczasem żaden z nich jeszcze morza pewnie nie widział, gdy ja już mam za sobą, aż dwa oceany.

Ciekawy jestem, który z moich kolegów zdawałby sobie sprawę z tego, gdzie ja w tej chwili jestem, gdybym mu doniósł: »Zasyłam ci pozdrowienia z nad Zarumilli«... Założyłbym się, że ani jeden nie odgadłby, iż rzeka ta dzieli Peru od Ekwadoru. No, nic dziwnego. Przecież i ja na ich miejscu nie byłbym o takim kraju, jak Ekwador, wiedział więcej nad to, że go trzeba na mapie południowej Ameryki szukać w północno-zachodnim kącie pod równikiem. Bo czyż mogłem sobie wyobrażać, że mnie los już w tak młodocianym wieku zaniesie do tej dziwnej rzeczypospolitej u stóp Andów nad oceanem Wielkim...

II.

Mam przedewszystkiem zapisać, skąd się tu wziąłem i jakim sposobem dostałem się aż na zachodnie kresy Ameryki. Było to Rio de Janeiro (co się wymawia: Dżanejro), nad ową cudowną zatoką, nad którą wznosi się ta wielka stolica Brazylji. Przyjechałem tam z rodzicami po strasznych przeprawach, jakieśmy przeszli w tym obcym kraju zamorskim, szukając lepszej doli, a zwłaszcza w jednej z jego prowincji, w Paranie, gdzie mieszka już mnóstwo polskich wychodźców.

C. d. n.

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Zagadka literowa

Odgadnąć dwa wyrazy z pięciu liter złożone i do siebie tak podobne, że różnicę między nimi sprawia tylko zamiana miejsca między dwiema literami. W pierwszym wypadku wyraz oznacza przyrząd niezbędny w najulubieńszym sporcie zimowym, a w drugim pomoc dla myśliwego.

Szarada

Głoska na przedzie, reszta kieruje,
To rządy wiedzie, to wodę pruje.
A razem obie są kwiatkiem sobie.